Rozmaitości

DNIA 16. MAJA — Ner 20. — 1835 ROKU.

TROJE WRÓŻEBNYCH NIEDZIEL.

Wyimek z papierów artysty.

Małe miasteczko w Austryi wyższéj, miejscem urodzenia mego. Moi rodzice należeli do tego stanu społeczności, który średnim nazywają. Ubodzy, nie mogli mi dać wychowania, któreby we mnie wzniecało nadzieję zawodu świetnego życia. Nic, jak tylko rzemiosło jakie, było moim widokiem. Jednakże umysł mój pragnął wyższego lotu; opiérał się przemocnie woli rodziców, któréj starszy brat mój poddał się jak najchętniéj. Poszedł bez oporu do jednego z krewnych naszych na naukę leśnictwa, chociaż go ku temu wrodzona pochęta bynajmniéj nie kłoniła. Co do mnie, byłbym z całéj duszy, nad spokojną i nudną samotność przy warstacie, przeniósł wolne i dzikie życie po kniejach i borach. Jakkolwiek wielki był mój opór, jednakże na nicby mi nie był się przydał, gdyby jeden dawny ojca mego przyjaciel, nie był się mną zajął, i mojéj niepewnéj skłonności, stałego celu nie skréślił. Tym zacnym człowiekiem był pewien malarz miernych talentów, jeden z tych, którzy zwykle po miasteczkach osiadają, i lub malowaniem pokojów, lub odnawianiem obrazów kościelnych lichéj wartości, lub inną podobną robotą chléb swój zarabiają; onto obudził we mnie miłość ku swojéj sztuce, i podołał tyle skłonić ojca mego, że mi uczyć się jéj dozwolił. Od niego wziąłem piérwsze w niéj początki, podług jego wzorów ćwiczyłem się w jéj piérwszych zasadach, i w krótkim czasie przejąłem wszystko, czego mi udzielić zdołał. Byłbym bez wątpienia został jego godnym następcą, gdybym chciał był dłużéj ćwiczyć się, nie w mistrzowskim wprawdzie umnictwa zawodzie, jednakże, do opędzenia potrzeb miernego, swobodnego życia, w dostateczném rzemiośle. Nawet po dziś dzień nie wiém jeszcze, ażali mam to za szczęście poczytać, że człowiek ten, był tyle szczérym wyznać mi, iż sztuka jego nie wiele mi pomoże, i że mi w świat się puścić należało, ażebym się czegoś więcéj i gruntowniéj nauczył. Z tém wszystkiém, chociaż mię do sztuki malarskiéj niezbędny popęd unosił, przecieżem i teraz nie zarobił na sławne imię Salvatora Rozy, i byłbym zapewne jako rzemieślnik miał życie spokojniejsze, a niżeli to było, które się moim stało udziałem, gdym opuścił dom ojcowski, i do Tyrolu pielgrzymował w nadziei, że się pracą i trudem do krainy uroków, do Włoch dostanę; bo moi rodzice ubodzy byli, moje kieszenie próżne, a serce moje, nadziei pełne, jakto się 18letniemu młodzieńcowi zwykle dzieje, który w siły swoje tuszy, i w przyszłość piękne widoki skréśla. Brat mój już piérwéj w świat się rzucił, i poszedł na północ szukać szczęścia swego; mnie zawsze coś na wschód ciągnęło. Puściłem tajnym chęciom wodze, wybrałem się w podróż, i zaszedłem do Insbruku, gdziem znalazł robotę i po trudach odetchnął. Pobyt mój w tém mieście nie był niekorzystnym dla mnie, dobrze mi się wiodło; pracowałem pilnie, żyłem oszczędnie, składałem grosz na dalszą podróż, i na wiele już miesięcy naprzód witałem ten dzień szczęśliwy, w którym w dalszą miałem puścić się drogę do kraju, gdzie mi pochlébna wyobraźność tyle rozkoszy obiecywała. Lecz czémże są zamiary ludzkie!

Między Francyją i Austryją wszczęła się nowa wojna, a z nią odnowiło się i powstanie

w Tyrolu. Wtedy nie pytano bynajmniéj, ktoby miał do broni ochotę; kto tylko mógł ją udźwignąć, musiał się wziąć do niéj, i przysiądz na chorągiew; mnie też równie nie proszono o to; wzięto mię jak innych w nocy z łóżka, i postawiono w szeregu; lubo prawdę mówiąc, nie miałem odrazy od stanu żołniérskiego i chętnie chciałem walczyć za ojczyznę. Mało w ówczas miano względu na pęzel i farby; jednakże zręczność moja w obchodzeniu się ze sztućcem, wyjednała mi ten zaszczyt, że mię umieszczono w pułku ochotników, gdziem na przemiany i strzélać i pisać musiał; co sprawiło, żem się wkrótce dorobił stopnia ober-jägra; co wtedy, śród wieśniaków, którzy tylko na cél brać umieli, nie wielkiéj podlegało trudności. Z początku nie źle się wiodło, zewsząd odbijał się głos zwycięztwa; Bawarczyków odparto, Francuzów wygnano z włoskiego Tyrolu. Byłto czas chwały!

Co do mnie, przechodziłem przez różne koleje, byłem w rozmaitych przeprawach; rzadko walczyłem w otwartym boju, najczęściéj z mojémi strzelcami z zasadzek zprzątałem nieprzyjaciół; nie raz byłem zmuszony piąć się po górach i po nad przepaście, gdzie na mnie za każdym krokiem śmierć czekała, a przecież z tych wszystkich obrotów, wyszedłem zdrowo, i tylko raz lekko raniony. Nakoniec w sierpniu roku 1809 zaszła trzecia stanowcza bitwa, która marszałka Lefebvra z Tyrolu wypędziła. Mój porucznik poległ, kapelan kompanii mianował mię na placu bitwy oficérem. Można powiedzieć, że mój ubior, jak na oficéra, bardzo dziwacznie wyglądał: siéraczkowa kurta, na głowie czapka z dużym pióropuszem, na nogach kamasze, u boku wielkie szablisko, za pasem pistolety, a na ramieniu sztuciec — oto cała świetność, i wystawa. Jednakże towarzysze moi, jeszcze dziwaczniéj wyglądali, a moi żołniérze, jeżeli kupę ludzi, którzy robili, co sami chcieli, tak nazwać można, wcale na okazałość stroju swego nie zważali; co kto miał, w to się i ubrał. »Nabić i zabić,« to ich było hasło, to ich cała wojenna sztuka. Nie długo jednakże mogliśmy się w ten sposób trzymać. Francuzi zaczęli nas bić raz po raz, i nie było dnia bez klęski; aż nareszcie ogłoszono wiedeński pokój. Byłem w tenczas z garstką moich ludzi pod Botzen odparty. Pomimo wszelkie niebezpieczeństwo, lud tyrolski nie chciał wierzyć w pokój, i miał go za płonną pogłoskę, a Hoffer pomimo amnestyją, zażegł w listopadzie znowu chęć do broni. Mnie i wielu innych cudzoziemców zatrzymali przemocą zhukani włościanie; musiałem mimowoli walczyć na ich czele; lecz radość ta wkrótce wzięła koniec. Francuzi zwyciężyli. Hoffer skrył się w Alpy, a ja z kilkunastą oficerów i wielą włościan dostałem się w niewolą. Gdybym wówczas był przewidział, co mię czekało, nie byliby mię pewnie żywcem pojmali. Wszystkich nas zaprowadzono do Botzen. Włościanów bądź zamknięto, bądź do domu puszczono; ale nas, tak zwanych oficérów, stawiono przed sąd wojenny, i nito zdrajców lub burzycieli publicznéj spokojności, na śmierć zkazano, jak się o tém poźniéj dowiedziałem; albowiem wtedy z całego toku sprawy tylko to jedno słowo: *La mort* zrozumiałem. Ale jeszcze widzę przed sobą tego francuzkiego jenerała, który nam wyrok śmierci czytał; byłato odrażająca figura, z czerwoną, jak ogień twarzą, z iskrzącémi się oczyma, żółtémi, jak szafran bakenbartami. Prawdziwy wizerunek Heroda, który jeszcze w dodatek, sierdzisto, jak lew wyglądał; nie mógłem się wstrzymać, abym go tajemnie nie odrysował; lecz mi po przeczytaniu wyroku rysunek ten odebrano, i bardzo słusznie, bo jużby mi na nic się poźniéj nie był przydał; albowiem zaraz nas w kajdanki okuto, i do jakiejsić wioski powieziono, w któréj jeszcze rozruchy wrzały, i gdzie nas, dla odstraszającego przykładu, bez zwłoki rozstrzélać miano. Nie pamiętam nazwiska tego przeklętego gniazda, i nigdym się nawet poźniéj o nie dopytać nie mógł. Dosyć, leżeliśmy w kajdanach po sześciu na jednym drabiniastym wozie; słoma ochraniała nas od zimna, a żandarmowie, którzy przy nas jechali, nakryli nas swémi płaszczami z obawy, abyśmy im przed czasem z zimna nie poumiérali. Tak jechaliśmy aż do zmroku i przenocowaliśmy w jakimeś kościele, w pobliżu wioski. Byłato noc okropna! Od godziny 3ciéj, t. j: od czasu, jak nas osądzono, żaden z nas przez całą drogę ani słowa nic przemówił, i tylko z obłąkania, kiedyś niekiedyś który z nas sam do siebie zagadał. Co do mnie, byłem niewypowiedzianym smutkiem przejęty; wsuną-

łem się za ołtarz, i otoczony ciemnością, zacząłem rzewnie płakać; wszyscy moi kochani, moi rodzice, moi krewni i ów malarz, mój poczciwy nauczyciel, stanęli mi na raz przed oczyma; wszystko, co mi było drogiém, przeleciało góry i lasy, i tu mi na jedném miejscu żywcem przed moją postawiło się duszą! Pisałem był raz do nich z wojny, lecz list zapewnie zginął, bo żadnéj nie miałem odpowiedzi. Teraz nie byłbym tego za nic w świecie uczynił, i to było moją jedyną pociechą. Wolałem, aby myśleli, że mię Bawarczyk jaki w potyczce w kawałki porąbał; aniżeli, aby się mieli dowiedzieć, że mię jak łotra rozstrzelano! Śród rozpaczy, gorzko zpłakawszy, zapytałem się nieraz nieba: czemu to wszystko, i tak się koniecznie stać musiało? ale niebo trwało w milczeniu, a ja znużony i łzami zalany, przemocy snu poddać się musiałem. Ile sobie przypominam, miałem sny błogo-wesołe, a obudziwszy się rano, nie mógłem pojąć, gdzie byłem; aż mi dopiéro brzęk kajdan i widok moich towarzyszy przypomniał, co się z nami wczoraj stało. Wsadzono nas znowu na wóz, i daléj wieziono. Byłto piękny poranek, powietrze łagodne; wierzchołki gór płoniły się od promieni wschodzącego słońca, wiele ptactwa skakało przed nami po drodze; wszystkoto w innych okolicznościach mogłoby mię było rozweselić; lecz mój stan, widok moich biédnych towarzyszy, do łez mię poruszał. Jeden z nich byłto człowiek prosty, który ustawicznie oczy w niebo trzymał, i tak w nie groźno patrzył, jak gdyby je z sobą do sprawy wyzywał. Kiedy niekiedy sam do siebie zamruczał, a potém w okropne przekleństwa wybuchnął, albo na nas bez najmniejszego powodu najgrubsze obelgi miotał; drugi był sukiennikiem z profesyi, gadał łamano po francuzku z żandarmem, który z uczuciem swéj powinności, litość połączał. Domyśliłem się, że o pieniędzach i ucieczce mowa była, ale żołniérz ten, lubo się nad nami litował, nie dał się namówić i żadnego datku nie przyjął. Kupczyk z Insbruku, rodem z Marchii, udawał obojętnego, gwizdał piosnki z oper, chociaż pot, który się kroplami na bladém czole jego jawił, wskazywał widocznie, co się w duszy jego działo. Ci trzej nie byli dla mnie; z innymi dwoma nie chciałem się przez samę litość wdawać. Jeden z nich był góral tyrolski, który w domu narzeczonę zostawił: zawsze on milcząc i wzdychając wlepiał oczy w wstążkę, która u jego kapelusza wisiała; miał ją zapewne w upominku od swéj najmilszéj; drugi był Niemiec rodowity, który wciąż się na różańcu modląc, głośno żałość swoję za żoną i dziećmi rozwodził. Jakto dobrze, pomyślałem sobie, że ty nieszczęsny nié masz ani kochanki, ani żony, ani dzieci; twoi rodzice mają przecież jeszcze jednego syna; twojeby dzieci nie miały już drugiego kochanego ojca, i stokroć razy byłoby ci teraz przed śmiercią cięźéj na sercu. Tą myślą wzruszony, zadrzałem na całém ciele, zimny pot skropił jagody moje, a przecież gdym w tak piękny poranek patrzył, gdym głosy dzwonów niedzielnych na służbę Bożą wzywające słyszał, gdym rzeskie, wesołe kupy ludzi do kościoła idące widział, gdym sobie na mój wiek ośmnasto-letni wspomniał; zdawało mi się, jak gdyby to wszystko ciężkim tylko snem było, z którego się przecież raz ocknąć muszę; a że tak prędko umrzeć miałem, nie byłbym nigdy wierzył, gdybym się był samémi bladémi twarzami moich towarzyszy otoczonym nie widział. Jeden z nich, zapomniawszy co go czekało, zawołał: »Ej bracia! jedziemy do kraju, gdzie dobre, czerwone wino rośnie, tamżeto sobie, mając kilka groszy jeszcze, wesoło pohulamy!« Na co mu drugi, boleśnie się uśmiechnąwszy, żałośnie odpowiedział: »Zapomniałeś przyjacielu, że my dzisiaj poraz już ostatni spać będziem.« — »Po raz ostatni!...« zawołali wszyscy, i każdy głowę na piersi spuściwszy, w smutku się pogrążył. Na drugim wozie tenże sam smutek panował. Na trzecim, chcieli niektórzy napojem zabić pamięć nieszczęścia; ale daremnie. Téj okropności, która ich czekała, zamorzyć nie zdołali! — Rozpaczą i trwogą na przemian miotani, przyjechaliśmy około nieszpor do téj wsi nieszczęsnéj, która naszym grobem być miała. Rwiącym strumieniem płynie tam Adyga, a tuż nad nią, na przeciw kościoła, stoi ratusz, do którego nas wszystkich razem zapędzono. Aby nas widzieć zaczął się lud zbiegać, i nie w jedném oku uśmiéchała się do nas łza litości; ale niedowierzająca straż nasza, odganiała każdą tkliwą duszę, która się do nas zbliżyć chciała. Nawet duchownego, który nas poźniéj, jak na

śmierć zkazane ofiary, odwiedzieć żądał, i ostatnią pociechą zasilić pragnął, nie wpuszczono pod tym pozorem: że żaden z nas po włosku nie mówi, i żeśmy już powinnościom religijnym w Botzen zadość uczynili. Nie długo trwało, nadszedł kapitan miejscowy, chudy Francuz, a z nim, władze magistratu; zaczęli nas koleją oglądać i przeliczać; poczém wzruszywszy litościwie ramiony, lub rzuciwszy groźnym na nas wzrokiem, zostawili nas naszemu losowi. Po niejakiéj chwili kazano nam przynieść w posiłek trochę wina, i zepsutego séra. Po środku sali zawieszono dużą, rozświetloną latarnię. Dwóch woltyżerów stało przed drzwiami z nabitémi karabinami na straży; w kącie leżał brygadyjer żandarmeryi, okropny wąsacz; do koła domu i po rynku chodziły patrole. Brygadyjer, pomusnąwszy wąsów, zapowiedział nam z obojętną miną: ażeby każdy z nas jutro rano o 10téj godzinie, jak waleczny żołniérz był gotów umrzéć. Tém nas pocieszywszy, nakrył się płaszczem, i rozciągnął jak długi, zostawiwszy nam czas rozmyślania, do którego nas okropne położenie nasze i smutny przybytek w téj obszérnéj, pustéj sali, tak bardzo usposobiały. Ledwo można pomyślić i uwierzyć temu, ażeby w takich, do pewnéj śmierci zbyt spieszno bieżących godzinach, żołądek dopominał się praw swoich; a przecież tak w istocie było; łakomo zjedliśmy skąpe pożywienie nasze, wypiliśmy do ostatniéj kropli wino, a potém pogadawszy z sobą przez chwilę, przeklinając naszych nieprzyjacioł, zabraliśmy się zasnąć po raz ostatni. Co do mnie, modliłem się gorąco, ale dosyć spokojnie za moich rodziców, i mogę wyznać, położyłem się z tą myślą: że ranek jutrzejszy przetrwam odważnie, że śmierć mię nie ustraszy, i że sam Napoleon kiedyś umrzéć musi; ale skorom oczy zamknął, i już się miał ku zdrzymaniu, nagle błysnęło mi w duszy, przypomniałem sobie, że dziś jest niedziela, i że dzień ten od dawna w rodzinie mojéj miał wróżebne znaczenie, że częściéj przyniósł jéj szczęście, a niżeli niedolę, i że mój pradziad, dziad i ojciec, każdy z nich miał w życiu swojém takich niedziel troje! Dla mnie nie stała się jeszcze żadna pamiętną, a przecież duch mój o tém dziś przypomniał sobie. »Złato wieszczba!« pomyślałem w smutku, »i mażsię dla mnie skończyć na jednéj, na jednéj tylko niedzieli!« Ta myśl wstrzęsła mną okropnie, jakieś gorąco rozlało się po wszystkich członkach moich, a gwałtowna chęć życia zawrzała mi w sercu, które zaczęło coraz bić mocniéj, i tak gwałtownie, żem już nie mógł uleżéć dłużéj, i koniecznie usiąść musiałem. Ale niestety! mój stan w niczém się nie polepszył, nie byłto zły sen, z którym się pożegnać mógłem; byłato smutna rzeczywitość: do koła mnie leżeli towarzysze nieszczęścia mego, płakali jedni, wzdychali drudzy, a niektórzy twardym snem ujęci, chrapali! migająca lampa ciskała blask posępny, a na dworze chodził wiatr północny, i chrzęstał szybami okien, jakby rycerz zbroją. W duszy mojéj powstała niepohamowana żądza, nim na śmierć pójdę, wyjść raz jeszcze na świéże powietrze, i tym balsamem nieba, ochłodzić gorące usta moje. Porwałem się z ziemi, i wstrząsłem mimowoli kajdanami; leżący przy mnie, przebudziwszy się, zapytał strwożony: »Ach bracie! czy już czas przyszedł?« uspokoiłem go, łatwym do zgadnienia pozorom. Straż u drzwi stojąca nałożyła ucha. Brygadyjer ocknął się, a wysłuchawszy domagania się mojego, rozkazał jednemu ze straży, wyjść za mną. Drzwi się otworzyły, wyszliśmy samodwoj na długi korytarz. Ach! nigdy człowiek nie wié, co go w przyszłość czeka; wtedy albowiem, gdy się za mną drzwi zamknęły, nie przeczuwałem bynajmniéj, że już niemi nigdy więcéj nie wrócę, i że się już na zawsze z towarzyszami moimi rozstałem! — Szliśmy długim gankiem, ciągnącym się od podwórza, po nad szumiącą rzékę Adygę; przy samém na ganek wnijściu stała straż podwójna. Licha lampa oświécała drogę, którą postępowałem; szedłem umyślnie zwolna, abym się tém dłużéj i wolniéj świéżem napoił powietrzem, abym użył chłodu burzliwego wiatru. Stróż mój szedł za mną aż do przypierzenia, niemal kroków cztérdzieści od wnijścia odległego; a gdym już za sobą drzwi zamknął, wrócił do swoich towarzyszów, przy wnijściu stojących, z którymi, żartując i śmiejąc się, głośno rozmawiał. Gdym sam na sam w ciemnéj stanął komórce, w któréj szum strumienia dwakroć wyraźniéj i dwakroć uroczyściéj się rozlegał; zaraz mię jakiś zamęt głowy opanował, który zabrał mi pamięć na wszystko, oprócz nato: że lepiéj

od razu w głębokich nurtach utonąć, aniżeli do rana dręczyć się długéj śmierci trwogą; chociaż mię ta myśl chyżo, jak łyskawica przeniknęła, przecież nie była żywszą od czynu, bo jużem się — obwinąwszy o ramię kajdany — z całéj mocy w dół cisnął głową, i jużem głęboko storcem w rzékę pornął, która mię zimnémi falami nakrywszy, krętym wirem silnie i daleko potoczyła! Nié wiém, co się daléj ze mną działo; to tylko pamiętam, żem uczuł nagle mocne uderzenie, a przyszedłszy do siebie, ujrzałem się, albo raczéj uczułem się, na mieliznę wyrzuconym. Zaraz się we mnie i chęć życia przebudziła; zacząłem się wolném lewém ramieniem i wolną prawą nogą, ile sił moich, chociaż z początku bardzo słabo, rwącemu opiérać strumieniowi, i dokonałem z rozpaczy i w ciemnéj nocy tego, czegobym na dniu jasnym, siłą i rozwagą, nigdy dokonać nie zdołał. Wybiłem się na brzég z rwącéj toni, i to na szczęście moje, na brzég przeciwległy!

Jednakże szum rwącego strumienia nie przeszkodził straży usłyszéć wykonanie mojéj ucieczki, bo łamiąc się z bystrym pędem wody, usłyszałem huk dwóch wystrzałów po nad moję głowę. Z przestrachu straciłem smysły, i byłbym może nawet u samego już zbawiającego mię brzegu utonął, gdybym się był szczęśliwym przypadkiem w krzak nie zaplątał łoziny, która się głęboko pod wodą krzewiła; uczepiłem się wszystkiémi siłami jéj prątków, i chciałem się wszelką mocą wydźwignąć na brzég z wody; lecz kajdany moje wmotały się w gałęzie, a w nodze od kajdan wolnéj, uczułem kurcz nieznośny. Martwy i bez ratunku, wiszący u krzaka, zwróciłem oczy boleśnie ku przeciwległemu brzegowi, i ujrzałem ganek ratusza jasno oświetlony, brzég rzéki zapłoniony latarniami. Szczekanie psów, zgiełk włościan, przeklinania Francuzów i Włochów, słyszałem wyraźnie; lecz jakąż trwogą nie byłem przejęty, gdym dosłyszał brzęk łańcucha, który od czółna odwiązywano! Sam pomysł dostania się w ręce moich katów, wstrząsł mną okropnie. Rozpacz rozświéciła zgasłe siły moje, doświadczam ich po raz ostatni, wytężam je w ostatnie przedsięwzięcie, i oto — jednem mocném targnieniem ramienia — wyrywam kajdany ze splotów gałęzi! Sunę się w górę po rószczkach łoziny, i wdziéram szczęśliwie na brzég tęskno pożądany. Za uschłym, rozłożystym krzakiem wikliny — jako łatwa dla moich nieprzyjaciół zdobycz — padam omdlały. Ale jest jeszcze, jest jeszcze Bóg miłosierdny, który nieszczęśliwych nie opuszcza, i z rąk prześladowców wybawia! — Z wielką trudnością, i śród przekleństw sternika, przez rwący prąd strumienia przerzyna się czółno. Porwane bystrych fal pędem, nie daje sobie przewodzić, i dotyka brzegu w tém właśnie miejscu, gdzie leżę omdlony. Spoziéram przez gałęzie i z wzdrygnieniem poznaję strasznego brygadyjera z latarnią w ręku, na chwiejącém się czołnie. Brygadyjer klnie po francuzku, stérnik bodzie długą żerdzią w dno rzéki; żołniérze strzélają z czółna na wszystkie strony w suche krzaki, kula przelatuje mi ze świstem po nad głowę; już się widzę zgubionym — gdy oto w tym samym czasie, jeden z żandarmów włoskich z gniewem zawoła: *»Al diavolo 'l briccone; é gia morto! Ritornamo!«* i zwracając czółno, uderza wiosłem po gałęziach mego legowiska. Byłato chwila okropna! Na włos tylko byłem od zguby oczywistéj, a to tém bardziéj, żem nie mógł żadną miarą przytłumić w sobie chrapliwego oddechu, który z piersi gwałtem się dobywał. Ale niech będzie chwała i dzięka Panu na wysokości! jego ramię było tarczą moją; uszedłem śmierci. Siepaki włoskie zniknęły, i już się nie pokazały więcéj, a ja, gdy się uciszyło, zmęczony okropną przeprawą, oddałem się w snu objęcie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DO LUTNI.

Ty, któraś dotąd na dni moich drogę
 Róże bez cierni ścieliła obficie,
Któréj powierzyć mój każdy żal mogę;
 W jaki spiéw, lutni! wlejemy dziś życie?

Czyli niepłodne, jak słońce w strumyku,
 Słówko pieściwe bez myśli, bez duszy,
Czcze, próżne dźwięki spajając do szyku,
 Mamy kołysać w zniewieściałe uszy?

Czyli pójdziemy panów schlébiać dumie,
 Bić im pokłony i czołgać się pieniem;
Aż tam w poziomym upatrzą nas tłumie,
 I raczą skinąć przebieżném spojrzeniem?

Nie, moja lutni, piękny darze nieba!
 Ty mi się w gniewie nie wyrywaj z dłoni
Wówczas, gdy jeszcze dla kawałka chleba
 Znój wyrobnika płynął z mojéj skroni;

Gdy z niedostatkiem chodziłem w zapasy,
Żelazną ręką potrzeby tłoczony;
Ja cierpliwością zbywałem te czasy,
Twojéj pochlebstwem nie splamiłem strony.

I chociaż dzisiaj łaskawsza fortuna,
Błogą swobodę przywiodła w me progi;
Nie przeto w duszy zagasła ta łuna,
Co życia prawe wskazuje mi drogi.

Prawdę, o lutni! niech nasza pieśń sławi,
Prawda jest różą nad życia ponikiem.
Patrz, jaka tłuszcza tu w koło się stawi,
I nowych pieśni domaga się krzykiem.

»O gminie ślepy! nie złoto, nie złoto
»Prawdziwą wartość stanowi człowieka;
»To, za czém gonisz, nic więcéj jak błoto,
»Kłamliwą tobie szczęśliwość przyrzeka.«

»Chociaż masz woły na braże tuczone,
»Chociaż ci wódki leją się strumienie;
»Cóż ztąd? gdy serce matactwem splamione,
»I spać nie daje skwiérczące sumienie.«

Ale, cyt! lutni; szmér głuchy powstaje,
Szmer taki burze, gromy zapowiada;
Patrz jakim gniéwem wrą i kipią zgraje,
Słuchaj, co głos nam sługębny rozkłada:

»Lichy pieśniarzu! co ty sobie myślisz?
»My nowych pieśni od ciebie pragniemy,
»A ty tu rzeczy zużywane kréślisz,
»I chcesz nam spiéwać co dawno już wiémy.«

Ha, lutni! słówko do téj gminu fali,
To słówko jeszcze: »A kiedyże wiécie,
»Ludzie niebaczni, o zapamiętali!
»Czemuż i czemu inaczéj czynicie?«

J. K. PAJGERT.

HAREM MEHMEDA ALI.

Amerykanka pewna, bawiąca teraz w Alexandryi, dostąpiła podczas pobytu swego w Kairze, szczególniéjszéj łaski widzenia sułtanki i haremu Mehmeda Ali; o czém się w liście do jednéj przyjaciółki w Nowym Jorku tak wyraża:

»Dotąd piérwszémi jesteśmy z chrześcijan, którym się udało zwiédzić harem paszy; jużeśmy tam dwa razy były, piérwszy raz tylko na chwil kilka, drugim razem przepędziłyśmy dzień cały. Przed bramą czekało dwanaście czarnych *eunuchów*, którzy nas wprowadzili do ogrodu, gdzieśmy znalazły trzy dziewice na różnych arabskich instrumentach grające, inne zaś tańczące i spiéwające. Poubiérane były w czerwonych i niebieskich, złotem haftowanych szatach, szérokie spodnie spływały aż do wyszywanych pantofli, kaftanik bez rękawów, z przodu nieco otwarty, dolegając wszędzie, spinał kształtną ich kibić; wyziérała z niego koszula z niebieskiéj lub białéj gazy, któréj szérokie rękawy, złotem lamowane, aż do łokcia sięgające, z tyłu tworzyły tysiące fałdów. Głowę zdobiły wielkie spinki dyjamentowe, przepasane zaś były szarfami z złocistéj materyi, mającéj duże złote frendzle. Piękne te istoty towarzyszyły nam aż do furty pałacu, gdzieśmy się zdybały z dawnémi znajomémi: z sułtanką, z téjże damami honorowémi i drużyną, do sto osób mającą. Sala, do któréj nas zaprowadzono, była niezmiernie wielka, białym marmurem wykładana, w środku znajdował się *bassin*, mający do 15 stóp średnicy, z niego tryskała woda najczyściejsza. Gzymzy były malowane i hojnie złocone, a na jednéj stronie sali były białe jedwabne złotem haftowane sofy, przed którémi bogaty perski kobierzec rozpostarty leżał. Gdyśmy tylko siadły, częstowano nas kawą i fajkami.«

»Sułtanka jestto dama koło 35 lat mająca, piękna na twarzy, jednakże zasępionych oczów; miała suknią szalową, po turecku przykrojoną, aż do szyi dolegającą. Nosiła na głowie dyjamentowy turban, wyrabianym *voalem* obwinięty; z lewéj strony, koło ucha, miała zatkniętą śpilkę w kwiaty z wielkich brylantów wyrabianą; kolczyki jéj w kształcie kropli, były wielkości członka palcowego, na ręce zaś strzélał promieniami prześliczny dyjamentowy piérścień. Drużyna koło niéj stojąca, poubiérana była w różno-barwiste jedwabne szaty, a każda, z najniższego nawet rzędu, miała brylantowy zawój. Same nawet cébuchy od fajek i filiżanki do kawy, ozdobione były témi drogiémi kamieniami. Jeszczem takiego przepychu nie widziała. Ormijanka jedna, po włosku mówiąca, służyła nam za tłómacza. Rękawiczki, sprzążki i cały strój nasz, ogólnie podziwiane były przez kobiéty. Oprowadzono nas po całym pałacu, który co do przepychu sali piérwszéj zupełnie był podobny. Koło w pół do dwunastéj znowu nas sułtanka do sali sprowadziła, gdzieśmy obiadować miały. Przystąpiły ku nam dziewice z srébrnémi miednicami, drugie lały wodę z takichże dzbanów na ręce, inne zaś podawały ręczniki. Na perskim kobiercu stał mały stoliczek na stopę wysoki, obrusem ze złocistéj materyi zaścielony; na nim leżała wielka sklanna misa, trzy stóp széroka, z talerzem, obejmującym pieczoną baraninę. Ja, z matką, siedziałam koło sułtanki, daléj E. G. i jedna dama honorowa, która wprzód była niewolnicą paszy, a teraz za dowódzcę wojska wydaną została. Porcelana była francuzka, noże i widelce z pięknego srébra, których jednak sułtanka używać nie umiała. Skorośmy usiadły, położono nam serwetę na kolana; drugą, złotem haftowaną, przewieszono przez prawe ramię, a trzecia, cienka, do ucierania ust służyła. Kilka niewolnic chłodziło nas wianiem wachlarza, inne trzymały różne półmiski, inne znów srébrne dzbanki. Obiad ten był dla nas za zbyteczny;

było nań bowiem 39 rozmaitych potraw, dziwnie przyprawionych; z każdéj nieco jeść musieliśmy. Piérwszych pięć potraw składało się z baraniny, ryżu i t. d. potém dano słodką potrawę, po niéj pieczone ryby i orzechy, i tak aż do trzydziestéj dziewiątéj, którą gęsty ryż z maślanką stanowił. Wzięto potém sklanną misę, a na jéj miejscu postawiono srébrną, melonami, brzoskwiniami, winogronami i t. d. napełnioną. Gdyśmy powstały uklękły przed nami dziewczyny z miednicami, myłyśmy znowu ręce, potém roznoszono fajki i kawę. Podczas gdyśmy tytuń paliły, udała się sułtanka na modlitwę, którą pięć razy co dnia odmawia. — Gdybyś całą tę scenę widziała, sądziłabyś, żeśmy śród dzieci, tak nas przez ciekawość dotykano, za suknie brano, ciągnięto; każda mówiła, że do niéj należemy, że z drugiémi gadać nie powinnyśmy. Koło trzeciéj godziny miałyśmy się oddalić, lecz sułtanka jeszcze nas zatrzymała, sądząc, iż kapudan-pasza nié ma prawa tak wcześnie nas oddalać; zeszło tak do 4téj godziny, nimeśmy się pożegnały. Postępowałyśmy w świetnym orszaku przez ogród: na sam przód szły grające, tańczące i śpiewające dziewice, a potém sułtanka z nami; niewolnice trzymały wachlarze z piór pawich nad głowami naszémi; za nami szedł orszak i różna drużyna. Przy furtce ogrodowéj podano nam szerbet; pożegnałyśmy potém czule gościnną sułtankę, a *eunuchy* odprowadzili nas aż do pojazdu naszego.«

Przypowieści prowincyjonalne. Włodek w rzadkiém swojém dziele: »O naukach wyzwolonych,« wyszłém w Rzymie r. 1780, zebrał wiele przypowieści, malujących charakter każdéj prowincyi Polski. Umieszczamy tu niektóre, i tak: Wielkopolanie są wielkiéj głowy, a małego serca; Małopolanie małego rozsądku, a większéj odwagi; Litwa prosta, ale mściwa; Bełżanie do prawa, nie do korda; Bieczanie dobrzy do rady, ale tchórze; Buszczanie szczodrzy w słowach, ale nie w rzeczy; Haliczanie rzetelni, ale pyszni; Krakowianie do bitwy, nie do rady; Kołomyjszczanie zgodni, samochwalcy; Lwowianie mili, ale lubieżni; Oświecimianie ni do kufla, ni do korda; Pilznianie szczodrzy bez rozsądku; Przemyślanie wielkiego dowcipu, małéj cnoty. Podolanie silni, ale nie dowcipni; Sandeczanie bitni, ale nie przykładni; Sanoczanie do korda, nie do prawa; Trębowlanie pyszni, ale rzetelni; Warszawianie z sercem otwartém, rękami skurczonémi; Zatorzanie o sławę zbyt, a o pieniądze mało dbają. Zwinogrodzianie bardziéj o worek, niż o brzuch troskliwi.

Stary Sącz słynie klasztorem franciszkanek i następną historyją Kasperka: Kasperek, zamożny mieszczanin tamtejszy, kupił niegdyś na Węgrach wina, ale Węgier między beczkami wina, wydał mu przez omyłkę beczkę z pieniędzmi. Postrzegłszy omyłkę żądał zwrotu beczki; Kasperek się zaparł. Węgier zrobił mu proces i pociągnął do przysięgi. Kasperek przysiągł na notę: Jeżelim zamiast beczki wina wziął beczkę pieniędzy, niech mię ani ogień, ani woda, ani ziemia, ani niebo, ani piekło po śmierci nie przyjmą. Wkrótce umarł, ale pogrzebać go nie było sposobu; zakopany w ziemię, nazajutrz na wiérzchu leżał, wrzucony w ogień nie gorzał, utopiony wypływał na brzég; a tymczasem jezdził przez całe nocy na białym koniu po ulicach miasta, nikomu nic złego nie robiąc; był nawet tak grzeczny, że przez okno zaglądał, jeźli go zawołano po imieniu, ale wiecznie milczał. Nakoniec jakiéjś czarownicy udało się zwabić Kasperka i zaspokoić nowego pogrzebu rodzajem, bo na włosku go powiesiła; w téj postawie usechł, w proch się rozsypał i zakończył swoję nocną jazdę. (K. K.)

Z listu z Pesztu. 1) W Cetynie na Czarnogórze wyjszło piérwsze dziełko: Pustyniak Cetyński, 1834. Autorem tego dziełka jest 21 lat liczący biskup czarnogórski, Piotr Piotrowicz. 2) W Bydynie wychodzić będzie pod redakcyją Teodora Pawłowicza pismo peryjodyczne, na wzór fenikowych magazynów, pod nazwą: List narodnyj. 3) Literatura mało-ruska: Jarosław Hołowaczeńko, Haliczanin, bawiący teraz w Peszcie, tłumaczy na język ruski dziełko Czelakowskiego: *Ohlas pisnj ruskych.*

Z Lipska. Ogólny wykaz książek na jarmarku wielkanocnym r. 1835 podaje liczbę nakładów w najznakomitszych niemieckich księgarniach, i tak: Basse 74; Reimer 71; J. G. Cotta 52; Manz 50; Levrault 44; Metzler 42; Brokhaus 39; Reitzel 36; Hoffmann i Campe 37; Haase synowie 35; Hahn 34; Schlosser 31; Arnold, Steinkopf, każdy 29; Goedsche 28; Perthes i Besser 27, i oprócz tego Perthes 16; Dunker, Humblot, Franz, każdy 27; Fr. Fleischer, Gerold, Mayer, każdy 26; Barth 25; Baumgärtner, Hinrichs, Leske, Voigt, każdy 24; Bädeker, Schubothe, każdy 23; Vetter i Rostowski, Weidmann, każdy 22; Brodhaj, Herold, Kollmann w Lipsku, Max i spółka, każdy 21; Voss, Triese, Hummerich, Kollmann w Augsburgu i Löffland, każdy 20. W ogóle tegoroczny jarmarkowy katalog zawiéra 4193 numerów, z których 3767 jest dzieł gotowych, a nakładników 487, więc wypada 8 numerów na każdego.

Z Berlina. Gazety donosiły już dawniéj, iż w Petersburgu mieszka lekarz, który w leczeniu oczu cudów dokazuje; posiada albowiem taką biegłość swéj sztuki, czyli raczéj téj doskonałości dostąpił, iż nawet tym, których już dotknęła jasna ślepota, wzrok przywraca. Obecnie zjawił się u nas drugi cudotworczy lakarz z téjże saméj stolicy, który tutejszych głuchoniemych słuchem obdarza, tak dalece, że wkrótce i mowę odzyskują. (G.P.)

Nie dawno jakiś porządnie ubrany podróżny stanął przed księgarnią na jednéj z głównych ulic Warszawy, i przypatrzywał się na wystawie prześlicznym głowom kobiécym. Raptem poczuł jakiś szmer koło kieszeni swego surduta, a obracając się prędko postrzegł chłopca, który odskakując, tylko co zdołał wyjąć rękę z jego kieszeni. »Takiś młody,« zawołał obcy, »a już się trudnisz złodziejstwem. Pójdziesz na szubienicę! wstydź się.« — »Wstydź się pan raczéj,« odpowiada chłopiec, »że przyjeżdzasz do stolicy, a w kieszeni nié masz ani grosza.«

Anegdota z życia Ign. Krasickiego. Krasicki, ozdoba poetów wieku Stanisława Augusta, nie był przyjacielem oszczędności. Gdy raz bawił w Berlinie, zrobił 30 tysięcy długu. Na odjezdném był na pożegnaniu u króla. Lecz gospodarz nie chciał Krasickiego puścić, bo mu nié miał czém zapłacić. Zasmucony udaje się na przechadzkę Krasicki i na nieszczęście, a raczéj na szczęście, spotyka króla. »Jeszcześ tutaj?« rzecze król. »Poddani W. K. Mości tak mię kochają, że mię puścić nie chcą.« Król rozśmieszony tą odpowiedzią zgadł do razu znaczenie tych słów i dług Krasickiego zapłacił.

Stan ludności we Francyi. Z 32 milijonów, które żyją we Francyi, znajduje się pięć milijonów w stanie największéj nędzy; 130,000 włóczy się po kraju za kradzieżą i rabunkiem, a 20,000 takich włóczęgów corocznie chwytają i karzą. Wydatki na bezpieczeństwo

gościńców, miast i tym podobnych, wynoszą nie więcéj nad cztéry milijony franków rocznie. Wartość skradzionych rocznie własności wynosi prawie 2 milijony frank. Koło 150,000 osób zapełnia ustawicznie cywilne i wojskowe więzienia, lub zalęga szpitale, domy miłosierdzia i podobne zakłady. Około 60,000 dzieci opuszczone są przez swoich rodzieów, i nié mają innego przytułku, jak tylko lasy, jaskinie przemytników i t. p., dokąd z potrzeby się chronią, a najczęściéj z nędzy umiérają. Trzy milijony znajduje się takich, którzy nie wiedzą, jaki mieć będą środek do utrzymania życia za miesiąc. Do téj liczby należą jeszcze 11 — 12,000, którzy z galerów, a 7 — 8000, którzy z więzień wypuszczeni bywają. Obrachowano, że we Francyi rząd, osoby prywatne, szpitale, domy miłosierdzia i inne zakłady, rocznie 50 milijon. frank. dla potrzebujących pomocy, i dla ogołoconych ze wszelkich środków, wydają. Z 32 milijonów mieszkańców 15 milijon. nie umié ani czytać, ani pisać, 11 — 12 milijon. zaledwie jedno i drugie umié, na całą zaś tyle milijonową massę ludności liczą tylko 300,000 takich, którzy zupełnie są oświeceni i wykształceni, a między którémi znajdują się ludzie wielkich zasług i rzadkich talentów.

Ces. ros. łowczy państwa, hr. Demidow, kupił najpiękniéjszy dyjament, Sency, za 500,000 frank.; waży on 65 1/2 karatów, i w miarę tego jeszcze jest tanio nabyty. Mehmed Ali zapłacił nie dawno za dyjament, 49 karatów ważący, 760,000 frank. Wartość dyjamentów pospolicie tak się ocenia: że jeżeli dyjament jeden karat (4 grana) przeważa, natenczas waga jego podniesiona do kwadratu mnoży się przez 190 franków.

W Bononii znajduje się teraz dwóch płci niewieściéj profesorów, jeden daje odczyty o prawie, drugi o chirurgii. Wiémy, że w wieku 14tym Novella di Andrea wykładała publicznie prawo kanoniczne, lecz od słuchaczów oddzielała ją zasłona, albowiem była tak piękną, iż się obawiała, aby jéj wdzięki nie przerywały uwagi słuchaczów. Co za skromność, jakie wyrzeczenie się miłości własnéj!

Podług pana Prokesz znany w starożytność labirynt znajduje się na wyspie Krecie. Sam go zwiédzał i zapewnia, że trudno, aby się w nim nie zbłąkać. Przechodów znajduje się przeszło sto, przestrzeń cała na kilka mil wynosi, a wszystko tam tak podobne do siebie, że mimo pochodni, potrzeba jeszcze używać nici 1200 sążni długiéj, jednakże tylko w miejscach mniéj znanych tego błądnika. Że to jest ów labirynt starożytnych, nie podpada wątpliwości.

Pan Thibaudeau w Paryżu wydaje zeszytami bardzo zajmujące dzieło, pod nazwą: »Konzulat i cesarstwo, czyli historyja Francyi i Napoleona Bonapartego od r. 1799 do 1815.« Autor przez lat 26 był członkiem rozmaitych gałęzi administracyi; podstawą pracy jego są praktyczne postrzeżenia; po dziele tém spodziewać się należy czegoś gruntownego. — Pani Mercoeur, matka tak wcześnie zgasłéj poetki Elizy Mercoeur, wydaje rękopisma swojéj córki w trzech częściach.

Paryzcy księgarze przedsięwzięli wydawać T e a t r e u r o p e j s k i, czyli zbiór arcydzieł dramatycznych niemieckich, włoskich, polskich, szwedzkich i rossyjskich, z historycznémi, bijograficznémi i krytycznémi objaśnieniami, wypracowanémi przez najznakomitszych literatów francuzkich. Każdéj soboty wychodzi jeden zeszyt tego zbioru po cenie 50 centimów (26 kr. w. w.). Do 25go kwietnia wyszło już 3 zeszyty.

Wiémy, że kobiéty z giełdy w Paryżu wyproszone zostały, i że się schroniły do pewnego sklepu w poblizkości, który wkrótce przybrał nazwę: Kawiarni Trognon. Jednak kobiéty spekulujące, nie przestają na tém, przechodzą się one tam i sam po ulicy i czekają na przybycie posłańców, donoszących im ciągle o spadaniu lub podniesieniu się kursów. Najzapaleńsze z nich przywdziéwają nawet mężkie suknie i śmiało w sali giełdowéj w tłum się mieszają.

W akademii muzycznéj w Paryżu dano nadzwyczajne przedstawienie na dochód sławnéj tancérki Taglioni. Siedmdziesięcio-letni Vestris tańczył z p. Taglioni *pas de deux* wśród powszechnych oklasków. Dochód tego wieczora wynosił 25,000 fr.! za taką summę warto poskakać.

Sławna śpiéwaczka pani Malibran, która właśnie swoim talentem zadziwia Wenecyję, została znowu panną Garcia. W roku 1826 d. 25. marca skojarzyła się aktem cywilnym w Nowym Jorku przed konsulem francuzkim z panem Malibran, który wtedy był obywatelem amerykańskim, teraz zaś żyje w Paryżu. O kościelném błogosławieństwie zdaje się że tam nie było wzmianki, albowiem sąd w Paryżu uznał ten związek za nieważny; pani Malibran sama na to nastawać miała, jakoż dopięła celu swego. Pan Malibran musi nawet ponieść wszystkie koszta procesu.

P. Laurent Franconi wyjechał ze swoją klaczą *Dame blanche* do Belgijum. Zamiarem jego jest pokazać Holendrom i Anglikom tę uczoną panią, którą uważać można za *non plus ultra* w sztuce ujeżdżania koni.

Sławny angielski historyk Gibbon przybył razu pewnego do Fernej, dla widzenia Woltera, właśnie wtedy kiedy ten był w humorze mrukliwym, i codzień wygadywał na Anglików, których nie ludźmi, lecz automatami nazywał. Z téj więc przyczyny uciekał od każdego Anglika, co zmusiło Gibbona, iż przekupił ogrodnika, ażeby ulubionego konia Woltera ze stajni wypuścił i wolno mu bujać pozwolił. Ten przebieg sprawił to, że Anglik zobaczył właściciela zamku. Lecz kiedy Wolter się postrzegł, że Gibbon dopiął swego zamiaru, zawołał na ogrodnika: »*Demandez lui vingt sous pour avoir vu la bête!* (Żądaj od niego 20 sous za pokazanie mu bydlęcia),« na co Gibbon, podwójnie płacąc, rzekł: »Ja chcę to bydlę raz jeszcze widzieć!«

Znany z kilku wynalazków dr. Cunnigham z Gospart wynalazł świéce, które się same objaśniając nie potrzebują szczypców. Jestto mniéj więcéj figiel mechaniczny, lecz warto zająć się upowszechnieniem téj maszyneryi.

Członkowie sekty Sads nie są licznémi w Indyjach, lecz co roku zgromadzają się w miejscu oznaczoném. Jednego tylko czczą Boga, twórcę wszystkich rzeczy, a pogardzają wszelkiém bałwochwalstwem. Utrzymują, że wszyscy ludzie są sobie równi, nie kłaniają się przed nikim, i nie znają różnicy kast, ani stopni. Nigdy nie służą w wojsku, i oręża nie używają do napaści. Ubiór mężczyzn powinien być biały, ozdoby złote i srébrne uważają za nieprzyzwoite, lecz kobiétom wolno nosić niektóre drogie kamienie i barwiste szaty. Obu płciom wzbroniono upijać się, palić tytoń, lub jeść to, co żyło. Sadsowie nie przysięgają; sąd przystaje tylko na ich wyznaniu. Na utrzymanie każdy zarabiać powinien uczciwym sposobem. Jeżeli podupadnie przez nieszczęście, bracia jednéj z nim wiary wspomagają go. Sads może mieć jednę tylko żonę, żona jednego tylko męża; zgwałcenie wiary małżeńskiéj surowo bywa karane. Po śmierci dobrzy dostępują, podług ich wiary, wiecznéj szczęśliwości, dusze zaś złych przechodzą w zwierzęta. O piekle nic nie wiedzą. Mają świętą księgę, którą im dał człowiek natchniony przez Boga. Dowiedziawszy się o Kwakrach angielskich, z którémi tyle mają podobieństwa, na ostatniém swojém zgromadzeniu w Delhi mieli ułożyć adres do téj sekty, który w Anglii jest oczekiwany.

Znaczenie l o g o g r y f u w Nr. 18. Rozm.

G r a, g r a t, t a r g.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.